



BOGUSZ DAWIDOWICZ

NIEWIDZIALNY

BOGUSZ DAWIDOWICZ

NIEWIDZIALNY

© Copyright by Bogusz Dawidowicz & e-bookowo

Zdjęcie na okładce: unsplash.com/@bermixstudio

Korekta: e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-209-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I rok 2021

PROLOG

Spoglądał na nią. Na jej piękne, martwe ciało. Wodził pełnym zachwytem wzrokiem po tym boskim dziele. Krecji prawie idealnej. Prawie, bo już bez tej iskry, która by ją rozświetliła i stworzyła obraz godny perfekcji.

Jeszcze niedawno była taka pełna życia, pełna gniewu. Pełna wściekłości na niego. Całą tą swoją cudowną witalność skierowała przeciwko niemu. Z furją wyładowała na nim lata swoich frustracji i niepowodzeń. Lata błędnych decyzji oraz pochopnych wyborów.

Bo czymże on sam mógłby tu zawinić? Czym oprócz miłości? Czy na tym cholernym świecie ktoś docenia ludzkie starania?! Ogrom pracy, jaki trzeba włożyć w skomplikowane relacje międzyludzkie? W te wszystkie niuanse, te drobne gesty, na które zdobywamy się tylko po to, by zrobić przyjemność drugiej osobie? Jak widać nie. Zanim zgasła, jej delikatne lico wykrzywił brzydki grymas gniewu. Teraz wydawała się taka spokojna. Jego śpiąca królewna. Delikatnie tulił ją w swoich ramionach. Pociągłymi, powolnymi ruchami głaskał jej puszyste włosy. Wiedział, że już się nie obudzi, ale nie dbał o to. Po prostu pragnął cieszyć się chwilą. Tą niezwykłą

intymnością. Nikt mu nie odbierze tych wspomnień. Już na zawsze zapamięta ten widok, to uczucie, ten zapach. Była jego. Tu i teraz. Choć przez ten jeden, krótki moment.

CZĘŚĆ I

„Ci, którzy nie są świadomi, że kroczą w ciemnościach, nigdy nie będą poszukiwać światła”.

Bruce Lee

ROZDZIAŁ 1

Rok 2017

Na ekranie 34-calowego panoramicznego monitora Samsunga pyszniła się twarz przystojnego blondyna. Mocna szczęka, krótko przystrzyżone włosy i niebieskie oczy. Typ urody kojarzący się z Anglosasem lub Skandynawem. Ubrany był w dopasowane, błękitne polo od Ralphi Laurena. Ręce skrzyżował na piersiach tak, by jeszcze bardziej uwypuklić dorodne bicepsy opięte koszulką.

„Piękne mam to zdjęcie profilowe” – pomyślał mężczyzna siedzący przed komputerem na krześle biurowym wymodelowanym w specjalnie podpórki pod kręgosłup. Palcami lewej ręki nerwowo bębnił w podłokietnik siedziska, zaś drugą dłonią trzymał bezprzewodową myszkę. Nie przestając stukać palcami lewej dłoni, wprowadził w ruch swoją prawicę – nieznacznie przesunął myszkę po ukosie w górę i nacisnął jej podstawowy przycisk. Otworzył tym samym galerię ze wszystkimi fotografiami, jakie zawierało jego konto na portalu randkowym. Wszędzie ten sam blondyn. To na nartach w kombinie oraz goglach w jakiejś austriackiej czy szwajcarskiej miejscowości, to w Londynie w jesienniej kurtce, opatulony

szalikiem z Big Benem w tle, to w samych kąpielówkach, na jakiejś rajskiej plaży z drinkiem w dłoni. Scenerie różne, odzienie też, ale wszędzie ten sam ujmujący śnieżnobiały uśmiech z dwoma rzędami równych zębów. Blondyn mógłby uchodzić za dziecko Roberta Redforda i Sharon Stone, gdyby tylko tych dwoje się o takowe w przeszłości postarało. Ale nim nie był. Pod awatarem jego zdjęcia głównego widniało imię „Tomek”. Tym samym imieniem mógł się poszczycić mężczyzna, który nagle odchylił się na oparciu fotela. Złożywszy spocone ręce na udach, wpatrywał się w swoje wirtualne alter ego. Imiona się zgadzały, wygląd... już niekoniecznie.

Mężczyzna znajdujący się przed monitorem „pożyczył” zdjęcia od szwedzkiego trenera personalnego z należącego do niego konta na Facebooku. Znalazł je po mozolnym, wielogodzinnym przeglądaniu przypadkowych profili. Zewnętrzna powierzchowność Nordyka idealnie wpasowała się w jego potrzeby. Swoich fotografii nie mógł użyć, nie pomogłoby mu one zrealizować opracowanego planu. Na własnym, tym razem jawnym, koncie na portalu Marka Zuckerberga nie posiadał ani jednej. Tomek z reala nie prezentował się jak hollywoodzki gwiazdor. Przy ponad 195 centymetrach wzrostu ważył około 139 kilo. W jego sylwetce próżno było szukać zarysu mięśni. Obfity brzuch wyraźnie odznaczał się pod wyświechtanym sweterkiem, optycznie jeszcze pomniejszając, i tak już zapadniętą, klatkę piersiową. Czerwony, bulwiasty nos dominował na okrągłej, ospowatej twarzy, sprawiając, że małe, głęboko osadzone, brązowe oczka wizualnie zmniejszały się do rozmiarów główek od szpilki, a wąskie usta do pojedynczej kreski. Mimo zaledwie 37 lat intensywnie tracił włosy – łysina

powoli dochodziła do czubka głowy. Żałosne resztki ciemnej czupryny, ostałe głównie na skroniach, kontrastowały z upiorną białością czaszki, tworząc godną pożałowania całość.

Tomek stanowił swoisty ewenement – pomimo imponującej postury miał też na tyle nieatrakcyjną fizys, że dla większości populacji uchodził wręcz za niewidzialnego. Zwłaszcza dla płci przeciwnej. Jego miałkość piętnem naznaczył sam los już w momencie, gdy pojawił się na świecie. W akcie urodzenia w rubryce nazwisko widniało bowiem: „Kowalski”.

– Przynajmniej jestem od niego wyższy – powiedział do siebie na głos Tomek, a na jego twarzy zagościł tryumfalny uśmiešek. I to była prawda – na profilu randkowym pomniejszył się do 183 centymetrów. Wydało mu się to idealne, bo w lubianych przez niego powieściach Iana Fleminga właśnie tyle mierzył najślynniejszy agent jej Królewskiej Mości, tj. James Bond. Tomek zwiększał też tym swój komfort psychiczny związany z całą tą mistyfikacją – zwyczajnie na jednym polu sobie odjął, żeby dodać na innych. W swoim mniemaniu stosował względnie uprawnioną kompensację. Wmawiał to sobie każdego dnia.

Z błógiego otępienia wyrwał go dźwięk nadchodzącej wiadomości – przy widocznej na ekranie ikonce z listem zaczęła migać cyfra jeden. Blondyn otrzymał kolejną w tym dniu korespondencję.

– No, nareszcie odpisała! – wydał z siebie przytłumiony okrzyk i wyszczerzył z radości swoje żółtawe, domagające się aparatu korekcyjnego, zęby. – Zaraz zabieramy się za lekturę – dodał i celem wprowadzenia się w odpowiedni nastrój, włączył bojowy w wymowie utwór „We fight for love”¹ kapeli The

¹ Walczymy o miłość.

Power Station. Z głośników komputera zaczęło wydobywać się głośne dudnienie lat 80.:

I will protect you

Nothing can hurt you².

– Najpierw jednak małe co nieco – mruknął Kowalski. Z widocznym trudem podźwignął się z siedziska i skierował kroki ku znajdującej się w kuchni lodówce. Muzyka wciąż grała w najlepsze:

I am a mountain

Surrounded by your love

You are a mountain that dreams are made of³.

² Ochronię cię
Nic nie może cię zranić.

³ Jestem górą
Otoczony twoją miłością
Ty jesteś górą, z której zbudowane są sny.